

*Międygatunkowa zagadka kryminalna
pełna zwrotów akcji i słodkich psów!*



POMOCNA ŁAPA

DAVID ROSENFELT



DAVID ROSENFELT

POMOCNA
ŁAPA

PRZEŁOŻYŁA Z ANGIELSKIEGO
Urszula Gardner



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Rescued

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agata Garbowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Icarus66 / Shutterstock.com

DTP: MELES-DESIGN

Copyright © 2018 by Tara Productions, Inc. All rights reserved.

Copyright © 2021 for the Polish edition

by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-66890-71-8



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

To nie ciężarówka z naczepą zwróciła uwagę Johna Paxosa.

Znajdował się właśnie na parkingu przy autostradzie nieopodal Paterson w stanie New Jersey i miał pełną świadomość tego, że kierowcy ciężarówek jak każdy robią sobie przerwy w jeździe i korzystają z toalet. Wprawdzie przy autostradzie nie brakowało specjalnych parkingów dla tirów, ale może tego akurat kierowcę zwyczajnie przycisnęło.

Dziwny był kąt, pod jakim ciężarówka stała zaparkowana, no ale jako się rzekło, facet mógł być w nagłej potrzebie. Nic nie wymagało od niego parkowania pod linijkę – miejsca było w bród. W gruncie rzeczy parking świecił pustkami, dopóki nie zatrzymał się na nim Paxos.

Niepokoilo co innego. Korzystając z toalety, Paxos nie minął się z nikim. Może kierowcą ciężarówki była kobieta? Znalazłszy się na zewnątrz, słyszał wyraźnie, że silnik tira chodzi na jałowym biegu. Nie miało to sensu; gdyby chciał, mógłby zaraz usiąść za jego kierownicą i odjechać jakby nigdy nic. Na szczęście dla beztrioskiego kierowcy – jednej czy drugiej płci – Paxos nie był złodziejem, tylko farmaceutą. Owszem, kolekcjonował zabytkowe samochody, ale ta ciężarówka na pewno się nie zaliczała do tej kategorii.

Istniała szansa, że kierowca jest na naczepie i poprawia zabezpieczenie ładunku. Tak, bez wątplenia o to właśnie chodziło. Paxos, uspokojony, już miał wsiąść do swojego wozu i ruszyć w dalszą drogę, ale coś go przed tym powstrzymało.

Było to przecucie – jedno z tych, które każą człowiekowi wsadzić nos w nie swoje sprawy. Paxos zawołał: „Halo, jest tam kto?” kilkakrotnie, za każdym razem nieco głośniejsze niż poprzednio. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Za to nagle usłyszał szczekanie.

Psów było więcej, tyle zrozumiał natychmiast. Wydawało mu się, że jest ich cały tabun. Później oszacuje, że trzydzieści, ale spudłuje haniebnie, zaniżając liczbę zwierząt. Od kiedy to psy są przewożone w ciężarówkach?

Zawołał ponownie, choć w tym hałasie i tak nikt by go nie usłyszał. Skoro jednak wcześniej usłyszały go psy, o czym świadczyły ich szczeki, człowiek na naczepie także nie powinien pozostać głuchy. A mimo to nie było żadnej reakcji.

Paxos nie mógł ot tak opuścić parkingu, nie przy tych wszystkich psach uwięzionych na naczepie ciężarówki. Mogło im być gorąco. Wiedział, że powinien kogoś zawiadomić, patrol ekologiczny albo policję.

Zdecydował się na ekopatrol; już po chwili rozmawiał przez telefon z dyspozytorem, dzieląc się z nim tym, co wiedział – a nie było tego wiele. Obiecał, że zaczeka na funkcjonariuszy, którzy mieli się zjawić na miejscu w ciągu dziesięciu minut.

Po paru minutach namysłu uznał, że nie chce stanąć z nimi oko w oko bez choćby sprawdzenia, jak się mają psy. Poza tym chciał wiedzieć, z czym właściwie ma do czynienia. Dlatego ostrożnie wdrapał się na naczepę i spojrzął w stronę, z której dobiegało szczekanie.

To wtedy zobaczył krew.

Andy? Tu Ralph.

Na wyświetlaczu telefonu było napisane: „Numer zastrzeżony”, poza tym nie rozpoznaję głosu w słuchawce. Jedyne Ralph, jaki przychodzi mi do głowy, to Ralph Kramden, główny bohater filmu *Bardzo długa podróż poślubna*, ale wątpię, aby to on do mnie dzwonił.

– Ralph? – upewniam się.

– Ralph Brandenberger. Andy, musisz tu natychmiast przyjechać.

I wszystko jasne. Ralph Brandenberger jest dyrektorem schroniska Passaic County. Razem z przyjacielem Williem Millerem kieruję Fundacją Tara, poświęconą ratowaniu psów i noszącą imię mojej golden retrieverki, która jest najwspanialszym psem w historii wszechświata. Często pomagamy Ralphowi, gdy schronisko jest przepełnione – zabieramy wtedy część zwierząt i szukamy dla nich nowych domów.

Chyba nigdy nie rozmawiałem z Ralphem przez telefon i dlatego jego głos wydał mi się nieznamy. Ale chodzi o coś jeszcze. Dyrektor schroniska jest zdyszany, a nawet... przestraszony.

– Chcesz, żebym przyjechał do schroniska?

– Nie. Jestem na parkingu przy autostradzie, niedaleko zjazdu sto pięćdziesiąt sześć. Andy, to okropne. Proszę, pośpiesz się.

– Co się stało?

Słyszę jakieś głosy w tle, po czym Ralph znów się odzywa:

– Nie mogę teraz rozmawiać. Każą mi się wycofać. Proszę, Andy!

Rozłącza się zniemacka.

Czuję przerażenie. Skoro Ralph dzwoni do mnie i potrzebuje mojej pomocy w związku z czymś „okropnym”, na pewno dotyczy to psów – skrzywdzonych, rannych, źle traktowanych. A najbardziej ze wszystkiego na świecie nienawidzę właśnie krzywdzenia, ranienia i złego traktowania psów.

Moja żona Laurie jest na zakupach z naszym synem Rickym, nie mogę więc jej poprosić, aby pojechała ze mną. Dzwonię zatem do Williego Millera, co wiąże się z pewnym ryzykiem. Willie bywa nieźrównoważony, a że to nieźrównoważenie idzie w parze ze znajomością karate, często robi się naprawdę groźnie.

Gdy mamy człowieka, który zrobił psu krzywdę, i gdy Willie jest w pobliżu, sytuacja staje się paskudna, i to w mgnieniu oka. Mój przyjaciel ma na punkcie psów jeszcze większego bzika niż ja, a to wiele mówi.

Tak więc dzwonię do niego i informuję, że odbiorę go po drodze z fundacji. Czeka na zewnątrz, po czym przez dziesięć minut bombarduje mnie pytaniami, na które nie mam odpowiedzi. Zerkam na niego i widzę, że dłoń ma zaciśniętą w pięść – z łatwością się domyślam, jaki obraz podsuwa mu wyobraźnia. Jednym z elementów jest skrzywdzony pies, drugim człowiek, który go skrzywdził. Willie już szykuje się do akcji.

– Tylko spokojnie – przemawiam kojącym głosem, wiedząc, że moje słowa nie odniosą najmniejszego skutku.

– Dam radę.

Nie mam pojęcia, co chce przez to powiedzieć, ale też brak mi czasu, aby się nad tym głębiej zastanowić. Jesteśmy już na

wysokości parkingu. Nie mogę na niego zjechać, ponieważ drogę przecina taśma policyjna. Nie żeby to stanowiło jakiś problem samo w sobie, lecz taśmy – jak to często bywa – pilnują policjanci.

Parkuję więc na poboczu i razem podchodzimy do taśmy, gdzie zatrzymuje nas funkcjonariusz, którego nie rozpoznaję.

– Wstęp wzbroniony.

– Nazywam się Andy Carpenter. A to jest Willie Miller.

– Powinno mi to coś mówić? – Najwyraźniej nie jest świadom mojej sławy, może powinienem odtąd nosić przy sobie wycinki z gazet na swój temat?

Jakieś dwadzieścia metrów za policjantem stoi Ralph. Dostrzega nas i rusza biegiem w naszą stronę.

– Wszystko dobrze, panie władzo – rzuca do funkcjonariusza. – Oni są ze mną.

Deklaracja ta nie robi na policjancie żadnego wrażenia.

– A pan to niby kto?

– Ten, co was wezwał na miejsce zdarzenia.

Rozmowa ma fascynujący przebieg, ale moją uwagę zaprzęta inny policjant. To kapitan Pete Stanton, mój najbliższy i jedyny przyjaciel z miejskiej komendy policji.

Pete dowodzi wydziałem zabójstw, co sprawia, sytuacja staje się jeszcze bardziej niejasna i złowróźbna. Nawet w Paterson policję interesują głównie morderstwa wśród ludzi. Obecność tutaj zarówno Ralpa, jak i Pete'a czyni tę konkretną sprawę dziwnie międzygatunkową.

Czy mi się tylko zdaje, czy Pete wdycha na mój widok? To, że się przyjaźnimy, niestety nie chroni mnie przed jego pogardą dla adwokatów. W każdym razie podchodzi do nas i zapewnia funkcjonariusza, że bierze to na siebie.

– Jesteś tu z powodu psów czy szukasz następnego frajera?

– Nie mam pojęcia. Ralph po mnie zadzwonił.
Dyrektor schroniska potakuje skinieniem.
– Chodzi o psy – wyjaśnia.
– Co tu się właściwie dzieje? – dopytuję.
– Widzisz tę ciężarówkę? Jest w niej pełno psów i jedna ofiara zabójstwa.

– Kto?

Pete marszczy czoło.

– Martw się lepiej o psy. – Następnie zwraca się do policjanta pilnującego taśmy: – Przepuść ich. Ale jeśli ten tutaj zacznie się zachowywać jak adwokat, masz moje pozwolenie, by go zastrzelić.

Po tych słowach oddala się – zapewne na miejsce zbrodni – zostawiając Ralphi, Williego i mnie zdanych na siebie.

– Zechcesz mnie wprowadzić, Ralph?

– Andy, nie uwierzysz, jak ci powiem...

Na naczepie jest sześćdziesiąt jeden psów – opowiada Ralph. – Jeśli wierzyć papierom, gość je przywiózł z Południa, no wiesz, w celu ratunku.

Dobrze wiem, o czym mowa. Sytuacja zwierząt bezdomnych u nas, na północnym wschodzie USA, jest niewypowiedzianie lepsza niż na Południu, skąd rokrocznie wywozi się setki psów, którym w innym razie groziłaby eutanazja. Większość futrzaków trafia do Nowej Anglii; dotychczas nikt nie powiedział, dokąd miał trafić ten transport.

– Jakie to psy?

– Różne. Nie miałem czasu dobrze się im przyjrzeć. Facet, który to zgłosił, mówił, że na naczepie jest ciało, ale jak tylko je zobaczyłem, dałem stamtąd nogę. Truposze mnie przerażają. Na pewno widziałem kilka staruszków i jedną golden retrieverkę z małymi.

– Zabierzmy je stamtąd – wtrąca Willie, odzywając się po raz pierwszy od przybycia na miejsce.

Ralph kręci głową.

– Nie pozwolą na to. Gadają coś o dowodach.

– Większej bzdury nie słyszałem – ucina Willie. – Te psy trzeba wyprowadzić z naczepy.

– Pogadam z Pete’em – rzucam i kieruję się w stronę Stantona.

Mój przyjaciel rozmawia właśnie z dwoma detektywami, z których każdy został przeze mnie wzięty – przy tej czy innej okazji – w krzyżowy ogień pytań na sali sądowej. Chyba dlatego powitanie, które mi fundują, jest raczej oschłe.

– Co tam znowu? – pyta sarkastycznie Pete. Pokazuje swoim podwładnym, jak bardzo gardzi tym upierdliwym adwokatem, który nie chce mu dać spokoju. Okazywanie mi nienawiści zdo-
bywa mu szacunek na komendzie.

– Możemy wyprowadzić psy z naczepy?

– Jeszcze nie. Najpierw musimy je zewidencjonować i spraw-
dzić pod kątem śladów.

– Będziesz je wszystkie przesłuchiwał? – pytam. – A może podepniesz je do wykrywacza kłamstw? Słyszałem, że jest wśród nich mieszaniec labradora, który wygląda podejrzanie. Z niego na pewno coś wyciągniesz.

Pete zauważa, że ich obowiązkiem jest nie przeoczyć niczego, choć oczywiście nie robią sobie większych nadziei. Wszystko potrwa do kilku godzin.

– Kilka godzin? Radzę ci je wyprowadzić na spacer w między-
czasie, inaczej w środku zrobi się nieprzyjemnie. Albo co gorsza, zasikają ci ślady.

O tym kapitan nie pomyślał. Taka perspektywa każe mu zmienić szacunki do około godziny.

Zabieram Williego i Ralpa do wypożyczalni samochodów, która mieści się pięć minut jazdy od parkingu. Na miejscu czeka na nas żona Williego, Sondra. Wypożyczymy trzy duże furgonetki, aby przewieźć nimi psy, gdy policja już je wypuści.

Sondra telefonuje do osób, które regularnie pomagają w fun-
dacji. Ich obowiązki sprowadzają się do zabierania na spacer, g-
łaskania i darzenia uczuciem naszych podopiecznych, co jest

bardzo ważne w procesie socjalizacji. Słyszymy od Sondry, że wolontariusze będą na nas czekać w siedzibie fundacji.

Szacowana godzina przedłuża się o dwadzieścia minut, co jest powodem rosnącego podenerwowania psów. W końcu sprowadzamy je kolejno z naczepy, pozwalamy im na krótki spacer i umieszczamy je w furgonetkach – wszystko to zajmuje kolejną godzinę. Domyślam się, że psy się stresują, ale znoszą to nad wyraz dzielnie.

Rzeczywiście są przeróżne. Każdego rozmiaru i kształtu, w każdym dosłownie wieku. Golden retrieverka wydaje się nam wdzięczna, gdy zabieramy jej szczenięta; nic dziwnego, musiały ją doprowadzać do szału. Biedaczka nie wie jeszcze, że wkrótce znów będą razem.

Sondra zdążyła wrócić do fundacji, gdzie wraz z wolontariuszami czeka, aż Ralph, Willie i ja podjedziemy furgonetkami pełnymi psów.

Żona Williego ma niesamowite zdolności organizacyjne; gdyby to ona dowodziła podczas lądowania w Normandii, do zachodu słońca alianci raczyliby się lodami na plaży. Sześćdziesiąt jeden psów w rekordowym czasie zostaje wypacerowanych, nakarmionych i umieszczonych w boksach, z których każdy jest wyposażony we własny materac.

Fundacja mieści się w dawnym budynku lodowiska, nie narzekamy więc na brak miejsca. Zależało nam na przestrzeni, ponieważ zakładaliśmy, że pewnego dnia dojdzie do powodzi, trzęsienia ziemi albo innej katastrofy naturalnej, w wyniku której mnóstwo zwierząt domowych znajdzie się na ulicy. Nikomu z nas nie przyszło nawet do głowy, że powodem zatłoczenia będzie strzelanina na parkingu przy autostradzie.

Willie i Sondra nie opuszczą posterunku do rana, na wypadek gdyby nowi lokatorzy wymagali specjalnej opieki. Mamy

w siedzibie fundacji przewidziany na takie sytuacje pokój noclegowy. Weterynarz pojawi się najszybciej, jak to będzie możliwe – podda nowo przybyłych badaniu, po czym zaczniemy planować co dalej.

Zdążyłem się skontaktować z Laurie kilkakrotnie, żeby informować ją o postępach naszych działań. Teraz telefonuję, aby powiedzieć, że zbieram się już do domu.

– Zatrzymam się tylko w sklepie po parę rzeczy.

– Przyjeżdż prosto do domu – prosi mnie żona.

Dziwna prośba z jej ust, dziwniejsza nawet ze względu na ton, jakim została wypowiedziana.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Po prostu przyjeżdż prosto do domu, Andy. Jest tu ktoś, z kim musisz porozmawiać.

– Kto taki?

– Muszę kończyć. Nie zatrzymuj się nigdzie po drodze, pamiętaj.

Nie mam pojęcia, o co może chodzić ani tym bardziej o kogo. Nie przeszkadza mi to jednak wyobrazić sobie przeróżnych możliwości, z których każda kolejna jest mniej prawdopodobna. Szanse na to, że nagłe przerwanie połączenia przez Laurie oznacza coś dobrego, są minimalne. Będąc tego w pełni świadom, mam nadzieję, że obejdzie się bez tragedii. A cokolwiek złego się stało, niech nie dotyczy Ricky'ego, dobrze?

Na naszym podjeździe stoi auto, którego nie rozpoznaję; dzięki swoim nadzwyczajnym zdolnościom dedukcyjnym natychmiast wiem, że jest to wóz tej osoby, przy której Laurie nie chciała rozmawiać. Ponieważ na zderzaku nie ma żadnych naklejek, który by coś mówiły o charakterze właściciela samochodu i jego tożsamości, chcąc odkryć jedno i drugie, muszę albo się włamać do wozu i schowka na rękawiczki, albo wejść do domu.

Wybór nie jest łatwy, bo o ile nie mam zadatków na włamywacza, o tyle wyjątkowo wejście do własnego domu napawa mnie strachem.

Ostatecznie jednak nazywam się Andy Carpenter i mam w sobie niespożyte pokłady odwagi, dzięki którym przekraczam próg.

W tej samej chwili z pokoju rodzinnego wychodzi Laurie, żeby mnie przywitać.

– Co się dzieje? – pytam ją. – Kto do nas przyjechał?

– Dave Kramer.

Powinienem był jednak włamać się do tego samochodu.

Dave Kramer to dawny chłopak Laurie.
Za samo to mógłbym go nienawidzić jak
własną nemezis.

Ale to nie wszystko.

Byli w poważnym związku, który trwał niemal dwa lata.

Ale to nie wszystko.

Dave zerwał z moją żoną.

Z tego powodu jest najbardziej tępym człowiekiem na świecie i nie pomogłoby mu codzienne ostrzenie. Poza tym właściwie nic o nim nie wiem. To znaczy wiem, że kiedyś był gliną, a potem prywatnym detektywem. I że Laurie krótko pracowała u niego po tym, jak sama odeszła z policji.

Na tym moja wiedza się kończy, ponieważ Laurie odmówiła mi odpowiedzi na pytania o Dave'a. Uczyniła tak być może dlatego, że pytając, zwykle jęczałem i skomlałem, choć może chodziło o to, że moje pytania były nietaktowne i naruszały jej strefę bezpieczeństwa. Jakkolwiek było, szybko zrozumiałem, że Dave Kramer będzie żył głównie w mojej głowie.

Aż do dzisiaj.

– Dave Kramer? – powtarzam, chyba mając nadzieję, że się przesłyszałem. Może Laurie wymieniła imię i nazwisko rymujące

się z Dave Kramer, na przykład Brace Flamer czy Knave Shamer. Może jednak powinienem pójść i włamać się do tego auta?

Moja żona potakuje.

– Dave Kramer.

– Odchodzisz ode mnie?

– Andy... – W jej głosie pobrzmiwa frustracja.

– Odchodzisz?

– Jesteśmy małżeństwem – mówi. – Musiałabym wziąć prawnika, a...

Wpadam jej w słowo:

– Nie zamierzam być twoim adwokatem w naszej sprawie rozwodowej. Poza tym użyję całej swojej prawniczej błyskotliwości, żeby cię puścić z torbami. Zostaniesz upokorzona i spotkasz się z ostracyzmem. Nawet telemarketerzy nie będą odbierać telefonów od ciebie.

– Andy... – Tym razem frustracji towarzyszy rozdrażnienie. – Idź i porozmawiaj z nim.

– Najpierw mi powiedz, dlaczego przyszedł się z tobą zobaczyć.

– Nie ze mną. Z tobą.

A to ci dopiero niespodzianka! Niewystarczająco duża jednak, abym przestał się zachowywać jak sztubak.

– Zamierza mnie poprosić o twoją rękę?

Laurie nie zniża się do odpowiedzi, tylko się obraca i znika w kuchni. Wiem, że powinienem za nią pójść, ale nie mam ochoty. Niestety ucieczka nie wchodzi w grę, ponieważ tu mieszkam. A jeśli się schowam pod kanapą, Laurie mnie znajdzie.

No więc wchodzę do kuchni, gdzie zastaję go, jak siedzi przy moim stole, pije moją kawę i drapie za uchem mojego psa. Na pysku Tary widzę szeroki uśmiech, jakby zupełnie się

nie przejmowała swoją zdradą. Właśnie to – zdrada Tary – boli mnie najbardziej.

Nasz basset, Sebastian, siedzi u stóp wroga, czekając na swoją kolej. Zdraycy, gdziekolwiek spojrzę.

– Andy, to Dave Kramer. Dave, poznaj Andy’ego.

Wstaje na powitanie, a ja automatycznie zadzieram głowę. Dave ma chyba metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Gdy się podnosi, odnoszę wrażenie, jakby się rozsuwał teleskopowo. Ponieważ sam mierzę ledwie metr osiemdziesiąt, i to w dwu parach grubych skarpetek na nogach, muszę zadrzeć także rękę, aby wymienić uścisk dłoni. A nie cierpię tego robić.

Zwykle nie zwracam uwagi na męski wygląd, ale muszę przyznać, że Dave Kramer jest przystojny wedle powszechnych standardów. Oczywiście mam gdzieś powszechne standardy. Sam prezentuję się nieźle, choć nieco ekscentrycznie – i to jest standard, do którego się stosuję.

– No więc? – rzucam. Zadaję pytanie otwarte, aby popchnąć sprawę do przodu najszybciej jak się da.

– Właśnie wspominaliśmy z Laurie stare dobre czasy – odpowiada Dave.

– Jak miło – komentuję, na co Laurie reaguje milczącym ściągnięciem brwi. Nie mam pojęcia, jak to robi, ale jej milczące wyrzuty potrafią być ogłuszające.

– Właściwie to chciałem rozmawiać z tobą – dodaje Kramer. – Wykorzystując znajomość z Laurie.

Nie odpowiadam, gdyż nie mam nic do powiedzenia. Dave wyłuszczy swoje powody szybciej, jeśli nie będę mu przeszkadzał.

– Chciałbym, żebyś mnie reprezentował.

– Jestem na emeryturze.

– Laurie twierdzi, że przechodziłeś na emeryturę co najmniej sześć razy. Zawsze bez sukcesu.

– To jest szczęśliwy siódmy raz. – Po chwili ciszy dodają: – Po co ci adwokat?

– Doszło dziś do zabójstwa. Człowiek, który prowadził ciężarówkę pełną psów, zginął zastrzelony na parkingu przy autostradzie. Ale tyle już wiesz.

Kiwam głową.

– Spędziłem tam ostatnie cztery godziny.

– Policja uważa, że to ja jestem zabójcą, a jeśli nawet nie, wkrótce będzie tak myślała. Trafię do aresztu.

– Skąd te obawy? – pytam.

Dave nie spuszcza ze mnie wzroku, kiedy mówi:

– Ponieważ faktycznie ja go zabiłem.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059